Nr. 8. We Lwowie Poniedziałek dnia 24. lutego 1890.

Dodatek literacki „DZIENNIKA POLSKIEGO”.

Z Paryża.

w lutym 1890 r.

(Influenca i lekarze. — Karnawał: Bale w operze i w ratuszu. — „Dziewica Orleańska“ Barbiera. — Nowe operetki. — Paryż i Londyn).

Przeminął wreszcie bezpowrotnie sezon influency, w ciągu którego od świtu do nocy krążyły po ulicach pogrzebowe kondukty i karetki doktorskie. Nie tylko lekarze, których tu liczymy dwa tysiące, ale także dentyści i felczery zaledwo przy pomocy fiakrów zdołali podołać olbrzymiej praktyce, spowodowanej epidemią. Była ona dla nich złotem żniwem, gdyż w normalnych stosunkach lekarz tutejszy pieszo odwidza swych pacjentów. Nie mamy tu oczywiście na myśli koryfeuszów sztuki Eskulapa, którzy mogą paradować we wspaniałych ekwipażach pobierając 40–50 franków honorarjum za każde odwidziny. Dla tych wybrańców losu umiejętność jest prawdziwą kopalnią złota, podczas gdy przeciętny lekarz może mówić o szczęściu, gdy dla siebie i dla swoich może zarobić na dostatnie utrzymanie.

Spóźniony w tym roku karnawał ożywił się dopiero z początkiem lutego. Oficerowie obrony krajowej urządzili swój wielki bal w salach opery, posypały się też liczne zabawy w poszczególnych dzielnicach na cele dobroczynne lub na rzecz kas szkolnych. Nie obyło się też bez maskarad w operze, jakkolwiek takowe postradały już od dawna urok, którym się niegdyś szczyciły. Jeden z dowcipnych feljetonistów słuszną z tego powodu czyni uwagę: „Niegdyś maska była pokrywką, z poza której można było rzucić kobiecie lekkie słówko. Obecnie można paniom powiedzieć bardzo wiele drastycznych rzeczy bez obawy, iż się zarumienią. Pocóż więc wdziewać maskę?...“

Bale w ratuszu od czasów drugiego cesarstwa weszły w modę. Mieliśmy sposobność przyjrzenia się tej fecie w dniu 6. b. m. Zdala już okazały ten gmach jaśniał rzęsistem światłem od suteryn aż po najwyższe szczyty fasady. Wszystkie przyległe ulice przepełnione były tłumami ciekawych, wśród których kręcili się policyści i konna gwardja miejska celem umożliwienia wjazdu tysiącom powozów, które w zwartej kolumnie krok za krokiem posuwały się ku ratuszowi.

Przedsionek ratuszowy jest okazałą salą wspartą na kolumnach. Sprawia wrażenie olbrzymiej nawy kościelnej, otoczonej pobocznemi kaplicami, w których tego wieczora urządzono garderoby. Po wielkich schodach wchodzimy do głównej sali. Na każdym stopniu schodów stoi nieporuszony gdyby posąg miejski gwardzista. Rosłe chłopy, przybrane w wysokie sztylpy, w białe pantalony i w ciemne mundury, szamerowane złotem, w hełmie na głowie, przedstawiają się bardzo korzystnie. Pierwsze dwa salony, nazwane salami gwardji, posiadają dekoracje już zupełnie wykończone. W pierwszym gra muzyka, w drugim tłoczy się mnóstwo panów, przepasanych trójkolorową szarfą i z takąż gwiazdą na piersiach. Są to członkowie municypalności.

Dwa salony zarezerwowano dla ministrów i dla prezydenta, w następnych ustawiono długie stoły, pełne przekąsek i chłodników. Z trudnością przeciskamy się przez tłumy do wielkiej sali balowej, w której usiłują liczne grupy puścić się w tany. Wobec tłoku zamiar ten z trudnością może dojść do skutku. Temperatura niesłychanie wysoka zniewala nas do ucieczki do przyległych apartamentów, których ściany świecą jeszcze niepokalaną białością. Nie zdążono dotychczas takowych ozdobić freskami — ornamentyka ich jednak zdradza dziś już wyborny gust w urządzeniu. Przez amfiladę mniejszych salonów dostajemy się na krużganek wiodący nas z powrotem do sali balowej. W tej chwili muzyka intonuje Marsyliankę, której dźwięki przygłusza wszakże gromki okrzyk: *Vive Carnot!* — prezydent rzeczy pospolitej wraz z małożonką pojawili się w sali.

Koło bufetów ścisk niesłychany. Kobiety i mężczyzni łokciami torują sobie drogę ku stołom. Zdobycie szklanki ponczu lub limoniady połączone jest z nadludzkim wysiłkiem. Osobnemi schodami dążymy do przestronnego fumoiru. Przygrywa tu kapela wojskowa i podają gościom świeże piwo. Gdyby nie gęste obłoki dymu, duszące nawet nałogowego palacza, pobyt w tej sali byłby wcale znośnym.

Radzi, nieradzi opuszczamy bal. Jak nas poinformowano, w ubiegłych latach wydawano zaproszeń 7.–8.000. Obecnie wydano ich 14.000. Niedziw więc, że mimo ogromu licznych apartamentów, duszono się w nich formalnie.

Toalety, ogółem sądząc nie grzeszyły przepychem ani też nowością pomysłów. Inaczej bywało za cesarstwa, kiedy to bale w ratuszu stanowiły epokę w dziedzinie mody. Wówczas krawcy i modystki na kilka tygodni przed terminem balu pracowali bez wytchnienia. Obecnie toalety zarówno jak całe zebranie przybrały charakter demokratyczny...

Ze sfer teatralnych wypadnie nam chyba zanotować wskrzeszenie *Dziewicy Orleańskiej,* sztuki spektaklowej, która już w roku 1873 ujrzała po raz pierwszy światło kinkietów na tutejszych deskach teatralnych. Tekst dramatu wyszedł z pod pióra znakomitego librecisty Juliusza Barbier, illustracja muzyczna jest dziełem Gounoda, zaś przedstawicielką tytułowej roli Sara

Bernard. Jakkolwiek uznana powaga krytyczna p. Vitu pozwolił sobie nazwać „Dziewicę Orleańską“ Szyllera „mierną trajedją“ w porównaniu zwyż pomienionem dziełem, mimo to jednak pozwalamy sobie wątpić, czy zdanie to jest prawdziwem i opartem na znajomości oryginalnego tekstu niemieckiego poety. W dramacie Barbiera muzyka, świetna wystawa i wirtuozowska gra Sary więżą uwagę widza. Najmniejszą wszakże rolę w tem wrażeniu, oddziaływaniu na publiczność, odgrywa sam tekst Barbiera. Znakomity librecista nie zdołał wznieść się na wyżyny prawdziwej poezji i dlatego dzieło jego jest tylko zwykłą spektaklową sztuką, obliczoną na nerwy tutejszej publiczności, lubującej się w frazesach wielkich, w wystawie jaskrawej.

Na targu teatralnym pojawiły się w ostatnich czasach dwie nowe kompozycje z zakresu operetki. W *Bouffes* uzyskała znaczny sukces *Cendrillonette* Leppelliego dzięki grze Mily Meyer, primadonny, która zyskuje coraz większą wziętość u publiczności. W *Gaité* przedstawiają znów czarodziejską sztukę *Voyage de Suzette*, która przenosi widza z miejsca na miejsce stownie do kaprysu libretta. Muzyka tej sztuki jest wiązanką melodji rozmaitych kompozytorów.

W zakończeniu niniejszego listu pozwalam sobie przytoczyć dowcipne przeciwstawienie Juliusza Magny, Paryża z Londynem: „Paryż liczy niewiele kobiet, oddających się pijaństwu, Londyn ma ich podostatkiem. W Paryżu noszą kobiety białe pończochy, w Londynie ciemne. Paryżanka kokietuje swą suknią, elegantka londyńska wlecze ją za sobą. Pierwsza nosi zgrabny bucik i wychodzi z domu z odkrytą głową, druga poprzestaje na ladajakiem obuwiu i wdziewa ekscentryczny kapelusz na głowę. W Paryżu krawcy męzcy naśladują mody londyńskie, w Londynie modystki studjują żurnale paryskie. Deputowani paryscy siedzą z odkrytą głową w wygodnych foteiach za pultami, londyńscy obradują wprawdzie w kapeluszu na głowie, lecz zniewoleni są do czynienia swych zapisków na kolanie. Londyn czyta biblię, Paryż pismo święte, cenzurowane przez księży. W Paryzu nie wolno kąpać się nagim, podczas gdy Londyn pozwala młodym ludziom, w kostjumie Adamowym używać kąpieli w Tamizie. W Paryżu widzisz aksamit i futra tylko w zimie, w Londynie przez cały rok.“

„W Paryżu trzyma się widelec w prawej ręce, w Londynie w lewej. Paryż posiada dzienniki formatu chustki do nosa, Londyn ma pisma wielkości prześcieradła. Świstanie w londyńskich tingeltanglach jest wyrazem zadowolenia, w teatrach paryskich wyraża takowe oburzenie. Przy uroczystościach publicznych występuje w Paryżu wojsko, w Londynie policja. Policja paryska maszeruje w kolumnie środkiem drogi, londyńska krańcem chodnika idzie gęsiego. Paryż ma więcej autorów, Londyn więcej autorek. Paryżanin jest radykałem, Londyńczyk konserwatystą; barwą obu jest kolor czerwony. W Paryżu pojedynkują się na szpady, w Londynie na słowa. Dziennikarz w Paryżu jest mocarzem, w Londynie nikt go nie zna po za obrębem redakcji.

Bębenek Tonia.

Nowella

Jana Richepin'a.

Dość było raz tylko ujrzeć generała X., aby wytworzyć sobie zdanie o jego usposobieniu. Bystry, sokoli wzrok jego, długie sumiaste wąsy — krótko mówiąc, cała powierzchowność okazywała doskonały, klasyczny typ żołnierza, pełnego zapału, zamiłowanego w wojaczce, odznaczającego się odwagą, która poniekąd z dzikością nawet graniczy. Jednocześnie też przychodzi na myśl, iż ród jego z dziada pradziada zapewne w służbie Marsa pozostawał, i że wiele, bardzo wiele pokoleń złożyć się musiało na wytworzenie w nim cech charakteru, tak niezbędnie żołnierzowi potrzebnych.

Oto co myślałem, ufając wielce (jak to zresztą wszyscy teraz czynimy) w swój zmysł spostrzegawczy, krytyczny, z pomocą którego od pierwszego rzutu oka klasyfikujemy rzeczy i z pierwszego wejrzenia wydajemy sąd o ludziach.

Czy jednak ufność ta nigdy nas nie zawodzi? Jako odpowiedź pozwolę sobie przytoczyć pierwszy rozdział pamiętnika generała X.

* * *

„Niezbadane są koleje losu! Któżby uwierzył, że urodziłem się po to, aby wyrabiać i sprzedawać jedwab!

A przecież tak było w istocie! Przodkowie moi posiadali od lat niepamiętnych fabrykę jedwabiu w Lyonie, i naturalną rzeczy koleją ja byłem ich spadkobiercą.

Jeżeli zostałem generałem, zasługa to... a raczej wina... nie moja, lecz czarnych sukien mamy przedewszystkiem zaś bębenka Tonia. Tonio był synem naszego ogrodnika w Montgain, a czarne suknie mamy znajdowały się w pewnym związku z pobytem na wsi, niezbyt obfitującej w rozrywki.

Owdowiawszy w 26 roku życia, zmuszona stanąć na czele fabryki, której sprawy zupełnie obcą dla niej były rzeczą, usunęła się chwilowo na wieś, aby uciec przed rodziną, pragnącą bądź co bądź wydać ją za mąż powtórnie. O ile mi się zdaje, związek ten był koniecznym przez wzgląd na fabrykę, do której prowadzenia potrzeba było praktycznego i doświadczonego człowieka. Na szczęście, taki człowiek znalazł się bez wielkiego trudu. Był to niejaki pan Lemathieu. Trzydzieści pięć lat, stanowisko majątkowe równe naszemu, nazwisko znane w przemyśle — słowem ideał męża. Dla rodziny zapewne, ale nie dla mamy. Raz już wyszedłszy za mąż zgodnie z wymaganiami konwenansów, nie miała ochoty zostać powtórnie „dodatkiem do posagu“. Fabryka osiągnęłaby niezawodnie wielkie zyski, ale serce jej cierpiało srodze. Oto dla czego ubierała się czarno.

Później, znacznie później dopiero dowiedziałem się o tem. Wtedy jednak mając dziewięć lat niespełna, jedno tylko wiedziałem, że w domu nudno było straszliwie. Uciekałem więc ztamtąd o ile możności i całe dni, spędzałem na zabawie z Toniem.

Wyraz „zabawa“ nie jest tu właściwie użytym. Prawdę mówiąc, nie zabawa to była, lecz włóczęga. Z ogrodu wymykaliśmy się wnet do wioski i zabrawszy po drodze wszystkie dzieci wiejskie, ruszaliśmy dalej w pole. Ogrodnik i jego

żona mieli wprawdzie polecenie nas pilnować, ale oboje byli tak pobłażliwi, ogród tak rozległy, parkan tak nizki! A przedewszystkiem Tonio miewał tak niezrównane pomysły! Ach! urocze wycieczki nasze! Dotąd stoją mi tak żywo w pamięci, jak gdybym wczoraj zaledwie do nich należał. Jednej szczególniej do końca życia nie zapomnę. Do kroćset! wszak to była pierwsza moja wyprawa wojenna! Od owego dnia powinienby właściwie rachować się mój stan służby.

Widzę nas wszystkich ustawionych szeregami przez Tonia. Tonio ma jedenaście lat, co nadawałoby mu prawo komenderowania nami, ale w dowód szacunku mnie dowódcą mianował.

Oddział nasz składa się z dwunastu piechurów, uzbrojonych w karabiny wyrobu Tonia, który w tym celu z bezlitośnem okrucieństwem powyciągał tyki ze szpalerów i kije z mioteł.

Dla dowódcy, t. j. dla mnie, Tonio sporządził pałasz, i to nie drewniany, jak karabiny prostych szeregowców, ale prawdziwy metalowy, zrobiony... z pogrzebacza. Na szyszaku moim powiewała kita piór, wyrwanych z ogona nieszczęśliwego koguta, który odtąd ukrywać musiał swą hańbę po szopach i zasiekach.

Sobie samemu Tonio złożył w darze bęben. Ale nie przyszło mu to z łatwością. Pierwotnie zamierzał zużytkować w tym celu rondel; lecz kucharka pokrzyżowała jego plany. Nie widząc innego środka ratunku, zadowolnić się więc musiał starym cylindrem, „pożyczonym“ od ojca. Czarny to był bęben, wydający głuche i stłumione dźwięki. Mieliśmy pozór żałobników, wiodących orszak pogrzebowy.

Lecz mniejsza o to! Tak wyekwipowani, ruszamy na zdobycie gruszek i winogron. Tonio idzie na czele, ja postępuję tuż za nim, wywijając w powietrzu szablą, która połyskuje o tyle o ile jaśnieć może stary, przepalony pogrzebacz. Przechodzimy przez całą wioskę, a jedyny nam sztandar stanowi rąbek od koszuli, wyglądający z pod ubrania najmłodszego z żołnierzy. I oto w polu już jesteśmy, pełni żądzy rabunku, a zapał nasz podnieca miarowe, silne uderzanie pałeczką w dno czarnego bębna.

— Stój! Kto idzie? Hasło?

Temi słowy zaczepia nas na skręcie drogi jakiś głos silny, basowy a nieznany.

Wojsko nieprzyjacielskie zabiega nam drogę! Wojsko złożone wprawdzie z jednego tylko człowieka, ale jakość starczy za ilość niekiedy. To żołnierz prawdziwy. Co mówię? To oficer, na prawdę oficer w czerwonych spodniach, z długiemi wąsami, z prawdziwą szablą przypasaną do lewego boku.

W mgnieniu oka łamią się nasze szeregi; żołnierze rzucają karabiny o ziemię, i jak spłoszone stado wróbli rozpierzchają się w nieładzie. Ja — wódz naczelny i generał — składam u stóp zwycięzcy nieszczęśliwy pogrzebacz. Jeden tylko Tonio ratuje honor naszej sprawy, i włożywszy swój bęben na głowę, aby imponująco wyglądać, z nieustraszoną miną odpowiada:

— Francja, panie pułkowniku!

Pułkownik, będący porucznikiem tylko, roześmiał się głośno.

— Zdzieżeście się tak wybrali? — zapytał.

— Ależ na wojnę, panie kapitanie — odpowiedział Tonio, zdegradowawszy nieprzyjaciela, który przestał być groźnym skoro uśmiechać się zaczął.

— No — mówił dalej oficer, — czy chcecie służyć pod memi rozkazami? Szukam właśnie śniadania, któreby się dało zdobyć szturmem. Zaprowadźcie mnie do najbliższego zajazdu, a sprawię fundę nielada.

Na twarzy Tonia malują się w tej chwili dwa sprzeczne uczucia. Z jednej strony nadzieja fundy go nęci, ale z drugiej boleje srodze nad tem, że jego bohaterskie zamiary spełzły na niczem. Milczy więc uparcie, spoglądając z pod-ełba na nieprzyjaciela tak skorego do ustępstw.

— Nie chcecie więc? — zapytuje znowu oficer. — Hm! hm! to mi żołnierze! Wyglądają na zuchów, a strach im ruszyć na wojnę. No, odpowiedzże w imieniu wszystkich, mój mały generale! — dorzucił, pieszczotliwie głaszcząc mnie po twarzy.

Nie ma co mówić, bardzo miły człowiek ten officer, a im dłużej mu się przyglądam, tem więcej mi się podoba. Młody, wysoki, wysmukły, na twarzy jego odwaga się maluje, spojrzenie pełne słodyczy łagodzi surowy wyraz, jaki mu duże wąsy nadają. Dotknięcie jego ręki miłe sprawiło mi wrażenie.

I nagle, gdy Tonio walczy jeszcze z sobą, ja wpadam na myśl, która mi się arcyświetną wydaje.

— Dobrze — oświadczam — znam tu w pobliżu zajazd, do którego chętnie pana zaprowadzę.

— Gdzież to? — zapytuje Tonio.

— Gdzieżby, jeżeli nie do nas! — odpowiadam.

Zrozumiawszy w mgnieniu oka mój zamiar Tonio woła z zachwytem:

— Racja! Ach! to będzie zabawnie!

Oficer nie zwrócił na to uwagi, że ubranie moje nie zdradzało bynajmniej syna oberzysty. Wziąwszy na serjo słowa moje, idzie za nami.

Ale — pyta jeszcze w drodze — czy przynajmniej dobrze u was jeść dają?

— Nieźle, mój panie — odpowiada Tonio, poufale już trakując nieprzyjaciela, który teraz na jeńca naszego wyglądał.

I oto zbliżamy się wkrótce do dworu i wchodzimy do ogrodu, w którym mama siedzi samotnie na ławeczce, w czarnym czepeczku i w czarnym także szlafroczku.

Ujrzawszy mamę i śliczny, zielenią obrosły domek, porucznik spostrzega wreszcie, że wprowadziliśmy go w błąd. Zmieszany, usprawiedliwiać się zaczyna, iż stoi obozem o trzy mile ztąd.. iż, wyszedł z zamiarem zdjęcia planów strategicznych... iż spotkał w polu tych swawolników, którzy... i t. d. Na honor! coraz więcej mi się podoba; onieśmielony jest widocznie, ale uprzejmy i wytwornie, uprzedzająco grzeczny.

Co się zaś tyczy mamy, widzę, że podziela ona moje zdanie i że jej także oficer się podoba.

— To ten mały figlarz — dorzucił, głaszcząc mnie znów po twarzy — jest głównym sprawcą całego nieporozumienia... Ośmielam się prosić pani o przebaczenie dla niego.

— Ależ nic się tu złego nie stało — odpowiada mama. — Nie gniewam się bynajmniej, ani na niego, ani na pana.

Krótko mówiąc, porucznik został u nas na

śniadaniu, a nawet, nie każąc się długo prosić, przesiedział do wieczora prawie. Mama w wyśmienitym była humorze! Ja także nie posiadałem się z radości.

Należy przypuszczać, że dwór nasz musiał być nader ważnym punktem strategicznym, skoro od tej pory stał się głównem ogniskiem wszystkich planów wojennych. Nie wątpię, że cała okolica, a zwłaszcza ogród, została bardzo drobiazgowo odznaczona na mapie topograficznej sztabu, bo porucznik co wieczór bez wyjątku przychodził zdejmować plany.

Bądź co bądź, mama odzyskała dawną wesołość; oblicze jej stawało się coraz pogodniejszem, aż wreszcie radością promieniało w dniu, w którym zrzuciwszy żałobne szaty, zmieniła nazwisko... nie po to wszakże, aby zostać żoną Lemathieu...

Dom handlowy został wystawiony na sprzedaż. Przodkowie moje oburzali się zapewne w mogiłach, widząc nasze przeniewierstwo. Co do mnie, nie doznawałem wcale wyrzutów sumienia. Ojczym wpoił we mnie zamiłowanie do jedynego szczytnego rzemiosła. Zamiast ślęczeć nad buchhalteryą, uczyłem się fechtunku, konnej jazdy i wszelkich innych ćwiczeń, potrzebnych do wstąpienia do Saint-Cyr. Aż wreszcie, dzięki czarnym sukniom mamy i bębenkowi Tonia, zostałem generałem.

Ale po przodkach przejąłem przecież coś w spuściźnie: jako prawy ich spadkobierca, umiem ocenić wszędzie i wyróżniać gatunek jedwabiu, który służy na sztandary!“

Czy pamiętasz?

(OBRAZEK)

(Ciąg dalszy).

Tak, jak inni był dziś w teatrze, słuchał opery, widział wszytkich i w antraktach, z ręką z gracją o fotel opartą, pokazywał się wszystkim. Poczem, wskoczył na sanki, zagrzebał się w futrach i na stangreta zawołał: „Prędko!“

Szybko, równo, z wdziękiem kołysząc się w obie strony, pobiegł rysak przez plac i ulice a pan jego, na zgrabnych saniach poziewał tak szeroko, że z ust jak z komina buchała para i mgłą wilgotną skrapiała puszyste futro.

Poziewając, wszedł do mieszkania swego, a lokajowi, do majestatycznego automatu podobnemu rozkazawszy, aby herbatę mu przyrządził, rzucił się na otomanę turecką materją obitą i — westchnął. Były tam dokoła niego śliczne sprzęty, obrazy, lampy, draperje, zwierciadła, kobierce, wszystko słowem co do komfortu, szyku i mody należy. Apartament, co się zowie świetny i pusty, w tem znaczeniu, że oprócz tego majestatycznego automatu, który pana swego spotkał, żywa dusza w niem nie mieszkała. Pan apartamentu bezżennym był, dla różnych powodów. Był czas, że chciał ożenić się, byle tylko rozumnie, dobrze. Ale bogata panna z jednego świata, o którą się starał, odmowiła mu: zaś, z wysoko zestosunkowaną panną z drugiego świata, która starała się o niego, sam żenić się nie chciał. Już raz miał zdecydować się na to, bo partja była (z racji stosunków owych) wyśmienitą, lecz nagle ogarnęły go jakieś, niejasne dla niego samego wahania się, skrupuły, którym uległ. Rozumiał dobrze, że były to głupstwa, jednak ich natarczywym, choć bełkotliwym namowom uległ, nie ożenił się i tak już zostało na zawsze.

Po świetnym i jasno oświetlonym apartamencie chodząc, oczy miał znowu szklanne, końce wąsa w zębach gryzł i kilka razy zamruczał. „Niech czart weźmie takie życie!“ Czuł się więc z życia niezadowolonym! No proszę! po takich trudach, mozołach, zabiegach, przy takich stosunkach, honorach, dochodach, czuć się z życia niezadowolonym! Dziwnie! dziwnie!

Nagle do biurka doszedł, w białe pulchne, białemi jak kość słoniowa paznogciami ozdobione palce, wziął list nierozpieczętowany, oczy mu błysnęły, uśmiechnął się. „Od Anulki! Jak Boga kocham, od Anulki! Tak dawno nie pisała, myślałem, że i nigdy już nie napisze. Aż ot, przypomniała sobie znowu... Rad jestem, bardzo rad!

Ta Anulka była siostrą jego, mieszkającą kędyś w głuchym zakącie, pod białowieską puszczą, w niewielkiej rodzicielskiej wiosce. A kiedy ich rodzicie obojga umarli, był on już w połowie świetnej swojej karjery i do siostry napisał: „Bierz sobie wszystko. Dla ciebie i twoich to los i szczęście, a dla mnie głupstwo, na które plunąć tylko warto“. Nie prosiła go też nigdy o nic i czasem w listach dobroczyńcą swoim nazywała. Od lat dwudziestu przeszło nie widywali się wcale; ona do niego pisywała rzadko, on odpisywał zwięźle, albo i nie odpisywał wcale; przechodziły miesiące, czasem lata, w których ani razu na myśl mu ona nieprzyszła. Jednak teraz, gdy na kopercie listu pismo jej poznał, rad był, bardzo rad, a gdy kopertę otwierał uśmiechnął się i zmarszczki znikły mu z czoła. Przy biurku siedząc, profilem do oświetlającej lampy zwrócony, pierwszą połowę listu szybko przebiegł wzrokiem, ale drugą czytał daleko powolniej i dłużej. Jednak, treść jej nie wymagała wcale głębokich rozwag i kombinacji. „Czy pamiętasz, — pisała mieszkanka dalekiego wiejskiego dworku, — jak tatko wieczorami długie rozmowy prowadził z ekonomem a my, małemi dziećmi jeszcze będąc, z kątka pokoju patrzaliśmy na poruszający się wśród ściany cień jego wielkich wąsów i jak nas to bawiło? Małe bo rzeczy wystarczały nam wówczas do szczęścia. Czy pamiętasz, kiedy po raz pierwszy, rodzice zawieźli nas w głąb puszczy, do leśniczówki w odwidziny jadąc, jaką radością napełniła nas ta wyprawa? W leśniczówce tej bywam niekiedy i teraz; nic się tam nie zmieniło. Sosny takie same wyprostowane i niebotyczne, jak były podówczas i paprocie takie wysokie jak te, w których zabłądziliśmy wtedy tak doskonale, że rodzice, z pomocą innych osób, przez parę godzin nas szukali. Nic dziwnego, schowaliśmy się w tych paprociach z głowami i szliśmy, a szliśmy wciąż naprzód, ciekawi co będzie dalej. Ja lękałam się wprawdzie rozbójników i dzikich zwierząt, lecz tyś zapewniał, że mnie obronisz i to mnie uspokajało zupełnie.

(Dokończenie nastąpi).
